

Dodatek B ŚWIADECTWO LISTOWNE MODLITWY O DESZCZ PREZYDENTA COLLEGU FINNEY'A

Washington D.C., styczeń 1912 rok.

Profesor Geo.S.Ornaby

Xenia, Ohio

Mój drogi panie, z zadowoleniem przyjąłem pański list z dwudziestego pierwszego ubiegłego miesiąca. Przypomina pan w nim nasze spotkanie w tym mieście i o naszej rozmowie o Oberlin i o „wielkim mężu Bożym”, który był prezydentem Collegu dawno temu. Przypomniat mi pan moje marne usiłowania, aby opisać tego człowieka. Warunki, w jakich zwoływał na modlitwę, napięcie strajkowe w chwili wypadku i prośbę, żebym opisał tę historię tak, jak mogę ją sobie przypomnieć. Nie mam żadnego pamiętnika w swoim zasięgu, z którego mógłbym podać dokładną datę tego wydarzenia. Główne fakty jednak przemaszerowują w mojej pamięci na tyle, na ile mogę je sobie przypomnieć. Wyglądają one jak kamienie milowe na drodze mojego pielgrzymowania, które trwa blisko 76 lat. Przypuszczam, że było to wtedy, kiedy osiągnąłem 16 rok życia, latem 1852 roku.

Od wczesnych dni okresu wiosennego tego roku, niebo odmawiało deszczu. Naprawdę, kurtyna chmur rzadko przesłaniała oblicze słońca. To mijające lato było latem wpatrzonych w górę oczu i wyczekujących pomocy z niebios. Łąki dawały mało nadziei, że zapewnią w zimie dostateczną ilość paszy dla zwierząt. Pastwiska były brązowe i ogołocone. Zboża były niewyrośnięte, ich liście były wykrzywione i żółte tak, że gdyby ktoś przechodził, to mogłyby zwieźć go te złote uszy, które nigdy nie będą zebrane do stodoły. Potoki przestały płynąć. Stawy wyschły. Wiele studni było bliskich wyczerpania. Żądanie od nich, aby dzieliły się swoją zawartością ze zwierzętami na farmie było często zamieniane na przykryte torfem wiadra. Wyschnięte i popękane naczynia spuszczano w głąb studni, nie otrzymując odpowiedzi. Nie jeden ryzykował puszczając bydło na pastwiska, aby szukało pożywienia i postępował za nimi, patrząc, czy doszukają się pomocy i litości. W te dni na farmach rosły częściowo przeredzone, olbrzymie drzewa. Pokrywały one powierzchnię ziemi w regionie obecnego Oberlin College, kiedy jego pionierzy przemierzali swoją drogę. Teraz stoi tu zespół obiektów Oberlin Collegu, okazałe budynki i drogi, stary kościół, gdzie Finney tak długo głosił kazania i modlił się. W tym czasie, o którym piszę, dzikie zwierzęta z lasu ciągle znajdowały dosyć pożywienia i ochrony na granicach ogołoconych pól. Na drzewach żyły wiewiórki. Szopy i oposy nadal chroniły się w lesie, ale w tych nieszczęśliwych dniach zapomniały o swoim strachu przed człowiekiem. Zaczęły przekraczać płoty, które ogradzały domy, lekceważąc człowieka i jego psy. Wiele wiewiórek zostało zabitych kamieniem lub kijem przez przechodzących chłopców. Niezwykła liczba pełzających stworzeń, dla których dzień jest nocą, wypelzła na powierzchnię i była deptana przez ludzi. Oblicze ziemi było pokryte bliznami pęknięć. Te szczeliny jak usta były otwarte w oczekiwaniu ochłody.

Przedstawiłem panu obraz stanu rzeczy, aby mógł pan lepiej zrozumieć aluzje zawarte w modlitwie. Niektóre z nich przypominam i tu zamieszczam. W czasie, o którym piszę mieszkałem dwie mile od starego kościoła w Oberlin i pracowałem jako parobek. Niedzielną szkołę zaczynała się o dziewiątej rano i regularnie do niej uczęszczałem. Kiedy kierowałem się ku temu miejscu w niedzielę, nie

było żadnego znaku, który wskazywałby na to, że niebo da się ubłagać. Niebiosa były jak z mosiądzu. Niedzielną szkoła zakończyła się i kongregacja zbierała się na poranne nabożeństwo. Organy przywitały wchodzących, a wokół nich zebrał się duży chór. Siedzenia się zapełniły. Były tam setki poważnych osób, które wpatrywały się w kazalnicę. Za nią stanął profesor Morgan, stary, drogi Morgan, którego niegdyś prezydencki uśmiech błogosławił kroki wchodzących. Następnie jego miejsce zajął prezydent Finney. Człowiek szlachetnego pokroju, zarówno z twarzy jak i postawy. Był on w pełni swoich sił i tak jak wielu wtedy myślało, a ja nadal myślę, był on największym kaznodzieją swoich czasów. Świeciło słońce. Chociaż jego dom był niedaleko stąd, to przyniósł ze sobą parasol. Jestem pewien, że na widok tego parasola zaczęto się uśmiechać. Wiedziałem o jednym, który się uśmiechał i wyglądał jakby rzucał nierówne wezwanie opatrności, która władała tą godziną. Usługa postępowała za porządkiem. Po wstępnej modlitwie, którą zmówił profesor Morgan, rozległ się głos pieśni. Kiedy to umilkło, miejsce zajął profesor Finney, wyznając grzechy ludzi. Rozgłaszał ich przygnębianie i błagał o miłosierdzie. Był wielki urok w tym człowieku. Natura przedstawiła tu najbardziej zręczny wyrób rzemieślnika w swoim kształcie. Jego głos brzmiał jak zawołanie serca matki, kiedy wzywa do poprawy dzieci popełniających błędy. Jego wygląd przypominał czasami zbliżanie się blasku „dnia z pośród dni”, kiedy to nadejdzie sąd na tych, których stopy kiedykolwiek stąpały po ziemi. W takich momentach, gdy stał na środku kazalnicy, jego stopy wysuwały się do przodu, a głos opadał w dół. Wyglądał jak jupiter nie dawkujący deszczu, nie wodzący błyskawice, lecz jak przywódca niebiańskich heroldów. Dowodził podmuchem trąb, który posłany od ukrytych miejsc do wszystkich żyjących i martwych. Można sobie wyobrazić, że słyszał echo odgłosu proroka z Galilei: „Nasz Ojciec”. I rzeczywiście w ten dzień mówił do Ojca. Na początku jak zawsze pamiętał o wielkim gronie studentów. Powierzył ich opiece niebios w szczególności po to, aby stopy ich nie zboczyły z wąskiej i prostej ścieżki. Potem swobodnie przez godzinę mówił o głównym obciążeniu. Mówił o bezchmurnym niebie, o martwej naturze, która zamiast letniego odzienia chwały przywdziała szaty żałoby. O tym, że liście pomarszczone opadły, że żaden kwiat nie odbija uśmiechu Stwórcy dając swoim dzieciom radość. O tym, że noc była najprzyjemniejszym schronieniem od słońca. Co prawda nie dawała ona obietnicy poprawy, lecz w jej ciemnościach znajdowały miłosierne wybawienie oczy, które były obciążone patrząc na „obrzydzenie i spustoszenie”. Potem mówił do Ojca żyjących istot o dziele Jego rąk. Jak dzikie stworzenia leśne zapominając o strachu przed człowiekiem poszukują miejsca jego pobytu. Mówił o tym jak pełzające stworzenia, dla których dzień jest nocą błąkały się po powierzchni, tratowane stopami ludzi i zwierząt. Powiedział o całym miłosierdziu dla błąkającego się po polach bydła, które zawodziło, nie mając pokarmu. Patrzyło ono z wymówką na człowieka pytając się coś to za grzech popełniło, że zostało tak okrutnie doświadczone. Głosem wszystkich żyjących i nieżyjących istot z policzkami zwilżonymi łzami, wołało: „Nawet spragniona ziemia otwiera swoje usta i woła do Boga o wodę”. Mówił o radości proroka, który nie mogąc dłużej w ludzkich rękach pozostawiać wyzwania słońcu, z synowską ufnością oczekuje nadchodzącego, wyproszonego błogosławieństwa. Nie przeminęło jeszcze echo „Amen”, a ten który zamawiał deszcz stał na kazalnicy, kiedy rumor i trzask zabrzmiał z dachu kościoła. Zaczęły spływać potoki deszczu. Z łamiącym się akcentem powiedział: „Pan wysłuchał nas w chwili, kiedy jeszcze mówiliśmy”. Chór i każdy głos w zgromadzeniu zagrzmiał pieśnią, wywodząc się wprost z radosnych hymnów Lutra „Chwała Bogu za wszystkie Jego potoki błogosławieństw”.

W późniejszych latach jak i teraz, relacjonowałem to wydarzenie z dawnych lat do uszu ludzi. Jedne były skłonne to przyjąć, a drugie były nastawione nieco krytycznie. Młodszy słuchacz dziwił się jak po upływie tylu lat mogłem tak dużo zachować w pamięci. Niektórzy byli skłonni dopytywać się o cuda i specjalne przeznaczenie Boże. Być może w tamtych dniach, chrześcijanie zbyt bardzo wzorowali się na „zmagającym się Jakubie”. Może w tych naszych późniejszych czasach, nasza wizja jest tak zajęta „odwiecznym planem”, że straciliśmy dotknięcie Ojcowskiej dłoni. Jakkolwiek by było, ty i ja, którzy jesteśmy już u krańca żywota wiemy, jak wyraźne wspomnienia nachodzą tych, którzy siedzą w wydłużającym się cieniu. Jak przyjemnie nam jest zbierać wszystkie wiadomości z przeszłości, które

mówią o dobroci Boga. Chociaż też wymierza sprawiedliwość karzącą dłoń.

Życząc tobie wszystkiego najlepszego w tym roku, twój szczerze oddany

S.S.Burdett